

O Arne Naessie, Norwegach, naturze i głębokiej ekologii. Rozmowa z Niną Witoszek

Jak się Pani czuje w Norwegii?

Nina Witoszek: Mnie się żyje w Norwegii jak takiemu „bękartowi historii” w obcym kraju. Nie czuję się też jednak Polką z krwi i kości, bo dużo podróżowałam i mieszkałam bardzo długo w Anglii i w Irlandii, później wykładałam we Florencji. W tej chwili czuję, że jestem bardzo pomieszana. Norwegia jest dla takich mieszańców jak ja naprawdę wielkim wyzwaniem, ponieważ jest to kraj bardzo homogeniczny. Jest to kultura, która przez wiele lat zajmowała się głównie sobą. Światem się nie zajmowała, ponieważ nie musiała, była ekologicznie, kulturowo i geograficznie odizolowana od reszty.



Nina Witoszek i Albert Rubacha podczas wywiadu. Fot. Eliza Szafert

Pomimo tego, że w tej chwili Norwegia bardzo się otworzyła na cudzoziemców i „mieszkańców”, takich jak chociażby ja, jest to kraj bardzo zawzięty w swojej etniczności, surowości i powiedziałałabym – niewinności.

Czy to jest kwestia ich charakteru narodowego, religii luterańskiej, historii, że są tacy zamknięci?

Jest wiele przyczyn. Na pewno religia, która była dość monolityczna, bo taki był luteranizm, chociaż miał wiele odmian. Był grundtvigianizm¹, haugianizm², byli johnsonowcy³. Wewnątrz tego luteranizmu się dość mocno gotowało. Byli tak zwani ziemniaczani księża, którzy chodzili i nauczali na wsi itd. W książce, którą napisałam o Norwegii, dowodzę, że tradycja założycielska w Norwegii to nie romantyzm jak w Polsce, lecz „pastoralne oświecenie” chrześcijańskie. Nazywam ją chrześcijańskim oświeceniem, albo lepiej pastoralnym oświeceniem, na zasadzie kalamburu: od pastorów i pastoralnych krajobrazów. Ta założycielska tradycja ciągle jeszcze odgrywa ważną rolę w życiu kulturowym Norwegii.

Druga rzecz, która sprawia, że Norwegia jest inna, to położenie geograficzno-ekologiczne. Bardzo długo wszystkie doliny, które były skute lodem przez 8-9 miesięcy w roku, a czasem nawet i przez 11, były w zasadzie niedostępne z zewnątrz, tworzyły swój mikroświat, rządzący się własnymi prawami, ponieważ ręka władzy niespecjalnie do nich docierała. Każdy był tam sobie sterem, żeglarzem i okrętem, i budował taką demokrację, jaka mu się podobała, i żył wewnątrz języka, norm i obyczajów tejże doliny.

Widzę Norwegię jako wielki kaftan z wieloma kieszeniami. Te kieszenie nie łączą się ze sobą w żaden sposób. One żyją własnym życiem. W każdej kieszeni żyją sobie ludziki i tworzą swój własny, powiedzmy, komfort. Jest to szalenie interesujące, to zróżnicowanie, z licznymi dialektami, ale czystą etnicznością. To byli głównie Germanie, Skandynawowie, nie pomieszani z nikim innym, a wręcz zbyt pomieszani ze sobą, co niezbyt ciekawie oddziaływało na kulturę. W chłopskich społecznościach było dużo małżeństw wewnątrzrodzinnych.

Przez długi czas, przed wynalezieniem dynamitu, niedostępność tych dolin sprawiała, że aparat władzy państwowej nie docierał do wszystkich mieszkańców. Jeszcze dziś Norwegia ma specyficzny stosunek do państwa i władzy. Władza jest po to, żeby im służyć, nikt się przed nią nie korzy i nie pełza.



Fot. Eliza Szafert

Są anarchizujący, skupieni na lokalności?

Tak, jak najbardziej. Te kultury lokalne kultywują własne obyczaje, kostiumy, język, tradycje, religie itd. Mam wrażenie, że Norwegia otwarła się na prawdę na świat dopiero gdzieś w latach 80. Dosyć długo to trwało, czyli do lat 80. Norwegia była tym kaftanem z kieszeniami.

Co ciekawe, buduje się cały czas tunele, dzięki dynamitowi. Uważam, że Norwedzy powinni postawić pomnik na cześć dynamitu, ponieważ dynamit sprawił, że można było przejść łatwiej z jednej doliny do drugiej i Norwegia stała się częścią Europy. Kiedyś trzeba było jechać do najbliższego fiordu i wziąć tam jakąś tratwę czy łódkę i dopłynąć. W ten sposób podróżowano kiedyś, przejście tych gór to była ciężka przeprawa.

Dzięki dynamitowi Norwegia stała się cywilizowanym krajem, potem stała się cywilizowana (choć to kontrowersyjne) dzięki ropie naftowej. I oczywiście nafta była bardzo ciekawym momentem w życiu kulturalnym Norwegii, dlatego, że pozwoliła Norwegom powiedzieć: mamy was wszystkich gdzieś, bo my się utrzymamy z tego, co mamy. Pozwoliła im na to, że mogą żyć na pewnego rodzaju luksusowym marginesie Europy. Są bardziej niezależni niż reszta krajów europejskich, choć oczywiście wiąże ich z Europą cała sieć porozumień. Norwegia to przede wszystkim kraj niezależny energetycznie. Sprzedaje tej energii mnóstwo na lewo i prawo. Norwedzy mogą sobie pozwolić na taką wyniosłą izolację, która pomogła im stworzyć kulturę stawiającą bardzo mocny opór cudzoziemcom.

W takim razie, gdzie umiejscowić stosunek Norwegów do przyrody, patrząc na ich dzieje? Czy oni szanują tę przyrodę, czy raczej walczą z nią?

To są ludzie, którzy żyli z przyrodą przez ileś tam wieków i do perfekcji opanowali sztukę rozmowy i dialogu z przyrodą. Mam wrażenie, że to jest bardzo ważne. Na czym to polega? Jest to oczywiście walka, gdy trzeba i to jest też celebrowanie, kiedy trzeba, ale też używanie przyrody. Norwedzy mają silnie zakorzenione poczucie jedności z przyrodą, ale ono nie jest jednoznaczne, dlatego, że przyroda jest tym bogactwem, z którego należy czerpać, nie jest czymś, co tak naprawdę należy wielce chronić. To coś, czego należy słuchać, jest to, powiedziałabym, taka postawa wobec przyrody, która nawiązuje do renesansu. W renesansie był m.in. Szekspir, znajdujemy tam taki obraz przyrody, który zawsze mnie zaciekawia. Szekspir mówi Ty Naturo jesteś po to, żeby nam służyć, ale żebyś nam służyła, to my musimy cię słuchać i spełniać twoje życzenia, bo inaczej się zbuntujesz. I ta świadomość, że przyroda, która ma nam służyć, może się w każdej chwili zbuntować, rodzi respekt, ale nie połączony z idealizacją, czy romantyzmem, tylko, powiedzmy, autentyczny respekt dla natury jako partnera. Można by powiedzieć, że jest to etyka partnerska, która zwyciężyła i która mam wrażenie ciągle jeszcze odgrywa tutaj bardzo dużą rolę, jeśli chodzi o relacje człowieka z przyrodą.

Czy ta etyka partnerstwa ma rys antropocentryczny?

Ona ma rys silnie antropocentryczny. Arne Naess jest wyjątkiem. Norweski stosunek do przyrody nie tylko ma rys antropocentryczny, ale ma rys silnie utylitarny. Jest cała masa badań na ten temat, że ten utylitaryzm jest trochę frustrujący dla romantyków Europy, którzy przyjeżdżali tutaj w XIX. I myśleli że Norwegia jest jakąś kolebką. Przyjeżdżali tu różni: Mary Wollstonecraft, Baudelaire, Monteskiusz i szukali kolebki romantyzmu tutaj na północy. Wollstonecraft napisała coś podobnego w swoich pamiętnikach: „To ma być niby kolebka romantyzmu, a przecież ci chłopcy tutaj i cała warstwa burżuazji (która tu prawie nie istnieje), nie widziałam większych racjonalistów i ludzi

kompletnie pozbawionych zmysłu romantycznego”. I oni tacy są, to urodzeni pragmatycy i utylitarysty.

Jeśli przestudiujecie dokładnie dorobek Naessa, to owszem jest tam głęboka ekologia, która tak naprawdę jest kantyzmem rozciągniętym na naturę. Ale Naess tego nie robi w sposób romantyczny, on myśli o naturze jak oświeceniowy ksiądz, jak taki kapłan, a nie jak romantyk. Zwróćcie uwagę jak on pisze. Porównajcie to sobie z Bergsonem. Bergson jest erotyczny, tam natura jest ewokowana językiem, który uwodzi. A Naess pisze jak księgowy. Nie używa ani jednej metafory, nie ma poezji, wizji, tylko te różne punkty, diagramy...

Chodzi Pani o to, że Bergson odwoływał się do intuicji, do elan vital, natomiast Arne Naess ma korzenie wiedeńskie?

Ma wiedeńskie, ale przede wszystkim on nie umie pisać o przyrodzie. Na tym polega paradoks Naessa: nie umie pisać o przyrodzie. Bergson umie. Umie też uwieść, urzec, a Naess nie uwiedzie. Etycznie może ma rację, rzeczywiście, tu jest coś ciekawego. Nie urzekł mnie jednak w sensie poetyckim, ideowym.

Kiedy i w jaki sposób spotkała Pani Naessa?

To bardzo ciekawa historia, dlatego, że przyjechałam do Norwegii i dostałam pieniądze na projekt postdoktorancki, chciałam napisać książkę na temat właśnie tej tradycji norweskiej, czyli jak się pisało o naturze od wikingów aż do Naessa. Zostałam przydzielona do instytutu studiów nordyckich na skandynawistyce. Byłam umówiona na spotkanie na wydziale skandynawistyki. Patrząc, wszystkie budynki uniwersytetu podobne do siebie i nie mogę znaleźć tego, w którym miałam to spotkanie. Szukam i pytam się różnych osób, a wszyscy ode mnie uciekają i nikt nie chce mi pomóc, więc w końcu podchodzi do mnie staruszek, taki miły pan i pyta, czego szukam, więc wtedy odpowiadam po angielsku, kogo szukam. On pyta, a dlaczego go szukam. Jestem już wdzięczna, że pyta o cokolwiek, że interesuje się mną. Mówię mu, że mam projekt o naturze. „A, o naturze, zatem musimy porozmawiać”. Ja mu mówię, że nie mogę, bo mam spotkanie o 13.00, a on na to, że palicho spotkanie, tam wszyscy się kłócą. Pójdiesz ze mną i opowiesz mi o swoim projekcie. W pierwszej chwili miałam ochotę odejść, ale pomyślałam, że może to jakiś wysłannik losu, a takich wysłanników nie należy lekceważyć. Poszłam z nim do kantyny, kupił mi kawę, żartował z dziewczynami. W ogóle zachowywał się jak jakiś *bon vivant*. Coraz bardziej mi się podobał ten 80-letni profesor. W końcu mówi: a teraz masz mi opowiedzieć o swoim projekcie. Opowiedziałam mu, o czym jest ta książka, streściłam mu główne rozdziały, które zostały napisane. On pokiwał głową i mówi: to wszystko jest błędne, wszystko źle zrozumiałaś. Więc ja byłam przerażona. Jak to źle zrozumiałam, a co mam zrobić? A on na to, że jedyne wyjście, że po prostu pójdiesz ze mną. I poszłam za nim, ale pytam się, z kim mam przyjemność, a on: „I am Arne Naess and I am your man” (śmiech).

Więc przyszedł do tego Instytutu, przedstawił mnie dyrektorowi i powiedział, że ma dać mi biuro, a dyrektor: O co chodzi? Arne, o czym ty mówisz? A on mówi: ona ma dobre pomysły, ale ktoś musi ją prowadzić – i wyszedł. Zatem ten dyrektor mówi: zaraz, chwileczkę, ale ja tak nie mogę, nie mam biura. Masz projekt? Mam projekt. A masz pieniądze? No mam. A na ile lat? Cztery. No to siadaj – porozmawiamy. I oczywiście zostałam tam, czyli staliśmy się kolegami od samego początku.



Fot. Eliza Szafert

Był Pani promotorem?

Nie, ponieważ nie musiałam mieć promotora, ale oczywiście potrzebowałam inspiracji, a miałam biuro obok Naessa przez następne 10 lat, więc to była moja najlepsza inspiracja, jaką mogłam dostać, nie mówiąc o tym, że się bardzo zaprzyjaźniliśmy, także z Kit Fai, potem odwiedzaliśmy się, spędzaliśmy razem nawet Boże Narodzenie i różnego rodzaju imprezy.

Jaka była Pani rola w tworzeniu filmu „Boxing Arne Naess”?

Przeprowadziłam wywiady z Arne do tego filmu, czyli go poniekąd sprowokowałam, a on odpowiadał. To był film przeprowadzony na jego 90. urodziny i chciałam go jeszcze złapać, gdy był w pełni sił intelektualnych. Film był bardzo ciekawy, ale nie tylko o to chodziło. Chodziło o to, żeby uchwycić norweską recepcję Naessa, czyli zrobić wywiady zarówno z jego zwolennikami, jak i z krytykami. Zwłaszcza krytyka mnie interesowała.

Stąd „boxing” w tytule?

Stąd „boxing”. Tam są pytania, jak pracuje, co go inspiruje, w którym momencie wpada mu coś do głowy, co i jak ma robić. Jest wywiad z Kit Fai, co sądzi o Arne Naessie, o miłości, różne pytania...

Reżyserem był Polak...

Reżyserem był Piotr Kuziński. Z nim ten film ułożyłam, przeprowadziłam wywiady, on go złożył i zmontował. Tak więc jest film zrobiony przez Polaków o Arne Naessie, i uważam, że najwyższy czas, aby go pokazać w Pracowni na rzecz Wszystkich Istot.

Mówimy tutaj o głębokiej ekologii w Norwegii, choć sam Naess nie używał często tego pojęcia. Czy głęboka ekologia jest tutaj popularna i przekłada się np. na działania polityczne?

Nie, ona nigdy się nie przełożyła na działania polityczne, dlatego, że Norwegia jest krajem socjaldemokratycznym. Większość partii jest całkowicie utylitarna jeśli chodzi o przyrodę, ale z drugiej strony to partnerstwo z naturą jest tam obecne cały czas, czyli jest to taka modelująca obecność rozumu ludzkiego, która polega na tym, że ludzie znają przyrodę, wiedzą jak ona pracuje, czego ona chce. Każdy tu jakoś rozmawia z przyrodą i jej słucha.

Nie było takiego przełożenia, chociaż były próby, ale nikomu to się nie udało i nie sądzę, żeby się powiodło, bo to jest utopia. Naess odgrywa rolę takiego zielonego papieża. Jak wiadomo, w krajach sekularnych papież odkrywa rolę korygującą czy jakąś ideowo utopijną: tak ma być, ale wiadomo, że życie jest tylko życiem i nigdy nie będzie tak, jak chciałby papież. Naess dzisiaj jest bardziej ikoną, postacią muzealną, która zakonserwowała i wyraziła norweską tradycję w jakiś sposób, ale to jest radykalna filozofia, a Norwedzy nigdy radykałami nie byli. Tutaj dominuje tradycja silnie ewolucyjna, reformistyczna, nie radykalna. Głęboka ekologia jest zbyt rewolucyjna. Dlatego Norwedzy będą łowić wieloryby. Gdyby byli głębokimi ekologami, to pewnie by nie łowili. Dopóki stan wielorybów jest taki, że na zdrowy rozum i racjonalne wyliczenia nie zagrażają jakieś ubytki, to się je łowi, a jak zaczną zagrażać, to się przestanie. Każdy rozmawia z tą przyrodą i jej słucha, czego ona chce, czy ona już ma dość i wtedy się podejmuje odpowiednie kroki.

Mnie się ta tradycja bardzo podoba, ten pozbawiony złudzeń utylityzm, ale utylityzm z pewną dozą respektu i z pewną dozą sekularyzowanej religii, bo to w końcu jest części ich tożsamość.



Fot. Eliza Szafert

Powiedziała Pani, że można Naessa określić jako filozofa oświeceniowego, nie romantyka. Z drugiej strony, korzeni „ekozofii T” doszukuje się Pani już w mitologii nordyckiej. Dodatkowo Naess silnie nawiązuje do Gandhiego, którego idee przełożyły się na działania polityczne, więc było to możliwe, pewien radykalizm udało się wdrożyć w życie.

Mam wrażenie, że to, co najlepsze z norweskiej tradycji, co w jakiś sposób zaważyło na jego pojmowaniu natury i stosunku do przyrody, to jest ten holizm, który był bardzo silny, ale to jest holizm oświeceniowy. Tam rzeczy są powiązane, nie wolno przerywać pępowiny, należy trzymać oko na tym, żeby to razem współdziałało i współgrało. Natura to jest jakby orkiestra. Nie wolno specjalnie fałszować. Ja mam wrażenie, że holizm był tu od samego początku, od mitologii, od sag przez poezję wczesną takiego norweskiego „baroku” po XVIII-XIX wiek. On rozwinął i zradycyzował ten holizm.

Druga rzecz to punkty wspólne między Naessem a opowieściami o Ragnaröku, czyli w mitologii skandynawskiej zmięczeniu bogów i końcu świata. To jest pewnego rodzaju filozoficzna część tej postawy w stosunku do natury, o której mówimy: to jest stoicyzm, który odczuwany jest w sagach, gdzie bohaterowie godzą na swój los, że trzeba się mu poddać i z naturą nie walczyć. Tzn. można z nią walczyć do pewnego momentu, ale później już trzeba się poddać i przeczekać. To jest mieszanka stoicyzmu i fatalizmu, ale takiego pogodnego fatalizmu, mam wrażenie występuje silnie u Naessa.

Kolejna rzecz bardzo ciekawa to oświeceniowy sceptycyzm. Bo jak wiadomo, Naess jest sceptykiem, który nigdy do samego końca nie uwierzy, ani nie potwierdzi, czyli nie jest rewolucjonistą. Pojawia się cały czas u niego ta wątpliwość sceptyka i to też stanowi część tej tradycji, która idzie głęboko wstecz, do wczesnych pism czy powiedzmy tekstów kulturowych i rytuałów, które zbadalam. Mam wrażenie, że ta tradycja jest bardzo zdroworozsądkowa, połączona z ostrożnością, sceptycyzmem, pragmatyzmem itd. Jest szalenie antyromantyczna, gorączki i mistycyzmu. Bardzo mało mistycyzmu. Pierwszym norweskim pisarzem, który wiedział, na czym polega mistycyzm, był Wergeland, jedyny norweski romantyk, ale on był cały czas traktowany przez swoich współczesnych jako przypadek kliniczny, był zupełnie na marginesie, nigdy nie traktowano go poważnie. Później próbę stworzenia romantyzmu podjął w Norwegii Knut Hamsun. On był mistykiem, jego Norwegia też nie przetrwała...

Norwegię znam właśnie poprzez Hamsuna: jego „Głód” i „Błogosławieństwo ziemi”...

Dla mnie natomiast przed Naessem uosobieniem tej oświeceniowej tradycji reformatorskiej, tego respektu, tradycji pokoju, nie był Gandhi, lecz Fridtjof Nansen, który zdobył pokojową Nagrodę Nobla. Połączył eksplorację przyrody, nieprawdopodobną ciekawość, partnerstwo z naturą, które pozwoliło mu na zdobycie bieguna, a jednocześnie był humanistą, który walczył o pokój na świecie, o polepszenie losu uchodźców, o powstrzymanie klęski głodu na Ukrainie itd.

Jakie etapy widzi Pani w myśleniu Naessa - czy też był to system jednolity od samego początku?

Na pewno były dwa etapy w tym sensie, że zaczęło się od pozytywizmu bardzo silnego, który został zmiękczone i w jakiś sposób rozwodnione. Przekształcił się w taki rozszerzony kantyizm. Później była próba doprowadzenia głębokiej ekologii do perfekcji. W zasadzie nic specjalnie nowego nie wymyślił.

Czy głęboka ekologia posiada wartości poznawcze? W jaki sposób jest wartościowa pod kątem wyjaśniania rzeczywistości? A może jedynie kształtuje pewne postawy, inspiruje, jednak nie może konkurować z innymi systemami naukowymi?

Na razie nie może. W tej chwili szczególnie nie może, bo jest kryzys na świecie i nie rozwiązano

problemów głodującej ludzkości. Musimy tę przyrodę zrozumieć lepiej, żeby lepiej było ludziom, bo ludzie umierają codziennie w wielkich ilościach: dzieci w Etiopii, w Indiach itd. To musi być naszym priorytetem, natura jako taka musi zejść trochę na drugi plan.

Czyli teraz nas nie stać na głęboką ekologię. To jest filozofia zbyt luksusowa, aczkolwiek uważam, że ona może być ciekawym instrumentem edukacji dzieci czy młodzieży. Moja mama posyłała mnie na lekcję religii, choć sama była niewierząca, żebym dowiedziała się, co jest złe, a co dobre, żebym stamtąd wyniosła wrażliwość. Tak samo uważam, że powinno się posyłać dzieci na zajęcia z głębokiej ekologii, żeby poznać tę wrażliwość, identyfikację z naturą. To nie znaczy, że ludzie staną się głębokimi ekologami. Ale rozwiną w sobie ten wymiar moralny w stosunku do przyrody i w tym sensie uważam, że może to być instrument edukacyjny, kształceniowym. To ciekawa wizja.



Fot. Eliza Szafert

Czy sądzi Pani jako osoba zajmująca się nowoczesnością i relacjami człowiek - religia - przyroda, że Arne Naess wprowadził nową jakość do rozważań w tym zakresie, czy też jedynie kontynuuje pewną tradycję?

Jestem narratystką i uważam, że jest on poniekąd kulminacją pewnej tradycji. Nie był nowatorski. Był nowatorski podobnie do Bacha w muzyce, to znaczy nie stworzył czegoś rewolucyjnego, ale stworzył coś, co było uwieńczeniem długiej tradycji, począwszy od tego stoicyzmu, który odkrywamy w starych sagach, przez holizm, który odkrywamy we wcześniejszej myśli norweskiej, a skończywszy na przyrodzie, która zawsze była częścią norweskiej tożsamości i „pastoralnego” oświecenia. Ci pastorycy luterańscy zbudowali podstawy współczesności w Norwegii. Oni byli takimi „Naessami”. Mieli obsesję miejsca: szukali krajobrazu, zbierali kwiatki, pisali bardzo kiepską poezję. W tym sensie Naess nie stworzył nowej jakości, ale był genialny, jeśli chodzi o przetworzenie tego, co było wcześniej. Naess dokonał połączenia tej etyki, pasji itd. z tożsamością opartą na znakach natury, na przywiązaniu do natury. On zwięździł pewnego rodzaju trend w norweskiej kulturze.

Czy ma swoich następców?

Nie ma - i to jest smutne. On ma swoich satelitów, lecz nie ma następców. Następca musiałby być buntownikiem, bo Naess jest postacią mityczną, jedyną w swoim rodzaju, wręcz mitogenną. W jakiś sposób sam się do tego przyczyniał. Krążyło o nim mnóstwo anegdot, plotek, lecz on ich nie prostował, nie zajmował się tym.

Co zaliczyłaby Pani do porażek ekologii głębokiej?

Na pewno sprawa protestu przeciwko budowie tamy w Alcie. Pomimo tak wielkiej mobilizacji ludzi, ostatecznie zakończyło się to porażką. Myślę też, że ważną kwestią jest zrównoważony rozwój. Głębocy ekolodzy nie potrafili dotrzeć do społeczeństwa, przekonać do swojej wizji. Naess uprzyrodawia kulturę, a to może być niebezpieczne. Przykładem darwinizm społeczny. Także nasiści mieli ochronę środowiska przed wojną na wysokim poziomie, z całym tym kultem witalności, cielesności, identyfikacją z przyrodą...



Nina Witoszek. Fot. Eliza Szafert

Wydaje się, że tego typu ochrona była motywowana antropocentrycznie...

Etnocentrycznie...

Tak, etnocentryzm jako rodzaj antropocentryzmu...

Myślę, że rozsądny antropocentryzm, we właściwych wymiarach jest dopuszczalny.

A osiągnięcia?

Do osiągnięć należy to, że przyjechaliście tutaj z Polski i robicie ze mną wywiad (śmiech). Mówiąc bardziej serio: to przesłanie trafiło do pewnej, choć wąskiej grupy ludzi, którzy próbują uwrażliwić innych.

Dziękuję za rozmowę.

Oslo, 11 czerwca 2008 r.

Nina Witoszek-FitzPatrick (właściwie Walentyna Witoszek) urodzona w 1954 r. w Pszczynie, studiowała we Wrocławiu, doktorat zrobiła na uniwersytecie w Sztokholmie. Historyk kultury, pisarka, dramaturg, autorka scenariuszy filmowych, profesor uniwersytetów w Oslo, Oksfordzie i Europejskim Instytucie we Florencji. W rankingu pisma „Dagbladet” została uznana w 2005 r. za jednego z 10 najważniejszych współczesnych norweskich intelektualistów. W 2005 r. otrzymała nagrodę norweskiej Fundacji Wolnego Słowa. Część nagrody przeznaczyła na stworzenie Stowarzyszenia „Solidarność Europa”. Debiutowała zrealizowanym w Irlandii filmem „The Fifth Province”, otrzymując trzecią nagrodę za scenariusz na festiwalu filmowym w Genewie (reżyseria Piotr Chołodziński). Wraz z Piotrem Kuzińskim zrobiła film „Boxing Arne Naess”. Jest związana z Centrum Rozwoju i Środowiska przy Uniwersytecie w Oslo (SUM). Autorka kilku powieści oraz kilkunastu rozpraw naukowych, opublikowanych m.in. w USA, Holandii, Szwecji i Norwegii. Napisała i współredagowała m.in.: „Philosophical Dialogues: Arne Naess and the Progress of Deep Ecology” (współredaktora z Andrew Brennanem, Boston 1999); „Norske naturmytologier: fra Edda til okofilosofi” (Oslo 1998).

Jej strona internetowa ninawitoszek.com.

Przypisy:

1. Nikolai Frederik Severin Grundtvig (1783-1872) - duński pisarz, pastor luterański, reformator kościoła w kierunku czystego protestantyzmu (tzw. Grundtvigianizm), twórca popularnej idei uniwersytetów ludowych, mających kształcić młodzież chłopską.
2. Hans Nielsen Hauge (1771-1824) - norweski kaznodzieja i reformator religijny.
3. Gisle Johnson (1822-1894) - norweski teolog.